

ktoś mógł wejść do pokoju chorego, nie będąc widzianym przez Siostrę lub oskarżoną?

— Tak, to było niemożliwe.

— Siostry Maryo, — przerwał obrońca, — Siostra przecież ciągle nie przebywała w domu chorego? O ile wiem, Siostry pielęgnarki, jeśli to tylko jest możliwe, wychodzą codziennie na godzinę na spacer, albo też odwiedzają klasztor. Czy Siostra nie korzystała z tego prawa?

— Owszem, wtedy jednak czuwała pani baronowa.

— Tak Siostra przypuszcza, czy jednak w czasie nieobecności Siostry nie można było przypadkiem zaniedbać na chwilę zwykłych ostrożności? Tem bardziej, że nikt nie przeczuwał strasznego wypadku.

Siostra Marya wzruszyła tylko ramionami, natomiast powstała szybko oskarżona.

— Nigdy, ani na chwilę nie zaniedbałam mych obowiązków, panie mecenasie, — zawołała wzburzona.

— O tem jestem przekonany, pani baronowo, — odpowiedział adwokat, — ale, gdy pani była sama, mogła pani być zmuszona na kilka minut odejść do gabinetu, albo aby jeść, albo też, aby coś od służby odebrać. W tym czasie mógł przecież ktoś niepostrzeżenie dostać się do pokoju przez okno?

Świadek odpowiedział stanowczym głosem: „nie“.

— Czy do pokoju nie można absolutnie dostać się przez okna?

— Panie doktorze, — odpowiedziała Siostra, — pan zapomina, że w grę wchodzić tu może ściśle ograniczony czas od rana ostatniego dnia, aż do trzeciej godziny drugiego ranka. W tym czasie ani na chwilę nie opuściłam pałacu barona, przeciwnie, ciągle przebywałam z baronową, a dopiero wieczór o dziesiątej na skutek przedstawień pani baronowej, przeszłam do gabinetu, aby trochę wypocząć.

— A więc oskarżona nakłoniła panią, aby Siostra poszła spać? — zapytał prokurator.

— Tak jest, muszę jeszcze dodać, że przedtem ja nalegałam na nią, aby ona trochę się przespala. Obie byłyśmy niemożliwie przemęczone. Ostatecznie jednak uznałam za zupełnie naturalne, kiedy mi powiedziała, że chce ostatnią noc, jaką ma w tym domu przepędzić, przesiadzić przy dziecku.

— Zupełnie zrozumiałe życzenie, — podkreślił obrońca.

— Zaraz, nie tak prędko — zawołał prokurator. — Kiedy Siostra rano podawała dziecku lekarstwo?

— Zawsze o ósmej godzinie.

— Zrobiła to Siostra i w ostatnim dniu?

— Tak jest. W południe nie daliśmy lekarstwa, bo Rudolf spał tak mocno, że nie chcieliśmy go budzić.

— A po podaniu rano lekarstwa, czy nie wystąpiły jakieś podejrzone objawy?

— Zupełnie nie.

— Tem samem mamy stwierdzone, że tylko w czasie od ósmej godziny rano do wpół do drugiej w nocy, t. j. czasu, w którym oskarżona drugi raz dała dziecku lekarstwo, trucizna dostała się do flaszeczki, — mówił prokurator podniesionym głosem. — I w tym czasie ani Siostra, ani oskarżona nie opuszczałyście ani na chwilę pokoju chorego?

— Tak jest.

— I nikt nie przebywał w obu pokojach w tym czasie, ktoby mógł wykonać coś tak, abyście o tem nie wiedziały?

— Nikt. Był tylko doktor Major i na pół minuty służący, który przyniósł mi list od przełożonej. Podeszedł on jednak tylko do drzwi, prowadzących z gabinetu do pokoju chorego, a ja wyszłam naprzeciw niego. Zresztą postępowaliśmy zawsze tak z obawy przed przeniesieniem choroby.

— A czy pan baron nie był w tym dniu w pokoju dziecka? — zapytał dr. Ammarell.

— Nie. Musiał wyjechać i rano tylko wstąpił na chwilę do gabinetu, aby zapytać się o stan zdrowia dziecka. Zastawiłam ich tam oboje z panią baronową, która przymknęła drzwi. Słyszałam tylko, że rozmawiali głośno i z wielkim wzburzeniem. Jak przypuszczam, doszło wtedy między nimi do gwałtownej sceny. Po dłuższej chwili weszła pani

baronowa, miała oczy zapłakane i oświadczyła mi, że już dłużej przy dziecku nie pozostanie. Na drugi dzień rano ma je opuścić.

— Wiadomość ta, którą otrzymała wtedy, tak bardzo ją wzburzyła? — dopytywał się prokurator.

— Prawdopodobnie, co zresztą uważam za rzecz zupełnie naturalną. Płakała jeszcze długo potem i z trudem zdołałam ją uspokoić.

— Czy macie panowie jeszcze jakie pytania do świadka? — zapytał przewodniczący.

— Tak, panie prezydencie — odpowiedział obrońca. — Chciałbym, aby Siostra nam wyjaśniła, czy boleść, jaką moja klientka okazała przy łożu śmierci, uważa za szczerą czy też udaną?

— Ależ to był dziki i rozpaczliwy wybuch, który musiał poruszyć serce każdego — odpowiedziała zakonnica z przekonaniem — to nie była rzecz udana.

— Czy Siostra wykrzyknik „jestem morderczynią“ brała poważnie?

— Z początku nie, przeciwnie, starałam się baronową uspokoić, przedkładając jej, że ona nie może



Opadła ciężko na ławę oskarżonych.

być temu winna, co się stało. Dopiero, kiedy się okazało...

— Że nikt inny, tylko ona mogła użyć morderczej trucizny, słowa te wydały się Siostrze podejrzone? dokończył i zapytał równocześnie prokurator.

— Ma się rozumieć.

Obrońca rzucił jeszcze pytanie:

— Jaki sąd wyrobiła sobie Siostra o osobie baronowej? Byłyście przecież szereg dni razem. Czy Siostra uważa, że zdolną byłaby do popełnienia pospolitej zbrodni.

Siostra Marya potrząsnęła głową.

— Pospolitej w każdym razie nie.

— Ale przecież bodaj takiego czynu, o jakim mówi akt oskarżenia? — nacierał prokurator.

— To muszę przyznać, rozpacz może z najlepszych ludzi zrobić zbrodniarzy. Gdyby tu zaszedł taki wypadek, to mogę z biedną kobietą tylko współczuć, a nie potępiać ją. Zdobyła sobie ona moje pełne współczucie i szacunek.

— Czy miała Siostra wtedy wrażenie, albo też czy ma je Siostra teraz, że baronowa na to tylko dostała się do swego dziecka, aby szukać sposobności do wykonania swego zbrodniczego zamiaru?

— O nie, pielęgnując dziecko, robiła to z takim poświęceniem, jak rzadko się spotyka. Bacznie śledziła każde jego poruszenie, każdy jęk przyjmując z niewysłownym bólem. Jeśli popełniła ten straszny czyn, to myśl jego powstała w niej nagle.

Na tem zakończono przesłuchanie Siostry Maryi, po niej zeznawał dr. Burger. Robert, o ile mógł, unikał spoglądania na oskarżoną. Widok jej na tem miejscu, ranił mu serce. Na pytania przewodniczącego odpowiadał głosem przytłumionym, drżącym często z wewnętrznego wzburzenia. Powtórzył więc po krótko wszystko to, co już poprzednio zeznał przed sędzią śledczym, starając się jak najprędzej prześliznąć po tych ustępach swych zeznań, które wydały mu się najbardziej obciążającymi dla ukochanej. Prokurator jednak nie pozwalał mu zbyt na to.

Po raz drugi postawił go wobec ciężkiego pytania, czy on przypuszcza, że Marga zabrała mu truciznę, aby siebie pozbawić życia, czy też z innego powodu. Dwa razy musiał Robert powtarzać owe straszne słowa Margi, które do niego powiedziała, że byłaby w stanie zabić swe dziecko z miłości.

Po raz pierwszy zwrócił się młody lekarz zupełnie ku nieszczęśliwej matce.

— Łaskawa pani, — oświadczył jej, — pani sama postawiła mnie w tem przykrem położeniu, że muszę tutaj świadczyć. Byłoby dla mnie rzeczą nad wyraz przykłą, gdybym musiał wierzyć, że pani posądza mnie o lekkomyślne zdradzenie pani zaufania. Ja...

Urwał rozpoczęte zdanie. Zciągnięte bólem rysy młodej kobiety rozjaśniły na chwilę promiennym uśmiechem. Był on jakby momentalnym błyskiem, który oświecił ciemną chmurę, ale w sercu doktora odbił on się jasnym, ożywcem światłem. Marga nie gniewała się na niego, mimo wielkiego bólu, mimo wzruszeń ostatnich godzin, dawała mu swą przyjaźń, objawiła mu swą żywą sympatyę! Prawie już bez potrzeby, dodała jeszcze te kilka słów:

— Kochany doktorze, uznaję zupełnie przymus położenia, w jakim pana sama postawiłam. Nie mam jednak nic do ukrywania, nie chcę nic ukrywać, następstwa tego mogą być, jakie chcą.

Dumny z usłyszanych słów, cofnął się Robert na swe miejsce świadka. Miał wrażenie, że jakaś wysoko postawiona osobistość, na której szacunku i poważaniu mu zależało, odznaczyła go specjalnem uznaniem. Na kilka chwil zapomniał nawet o smutnem znaczeniu obecnej chwili i niebezpieczeństwie swej ukochanej. A przecież... przecież ona nic więcej nie miała dla niego, prócz przyjaźni! Głos przewodniczącego, wywołujący nowego świadka, powrócił mu świadomość sytuacji. Z cichem westchnieniem skupił swą uwagę na dalszym ciągu rozprawy, dla niego tak doniosłej.

Przesłuchano jeszcze trzech świadków. Pierwszym był komisarz policyi, który znalazł flaszeczkę z trucizną, po nim zaś została wezwana gospodyni barona Wolferna, panna Albanus. Postawna młoda dama, licząca 28 lat, dostatnie zbudowana, o obfitych włosach szatynki, o dużych oczach, których kolor mienił się między jasno- a ciemnobrązowym, wpadając chwilami w lekki odcień zielonkawy, posiadała miłą i sympatyczną twarz. Od dwóch lat bawiła w domu barona jako dama do towarzystwa i kierowniczką jego kawalerskiego gospodarstwa. Wychowaniem Rudolfa prawie zupełnie się nie zajmowała, także w czasie choroby dziecka stykała się bardzo mało z baronową i Siostrą Maryą. Mimo to przesłuchanie jej było ważne ze względu na jedną specjalną okoliczność.

— Panno Albanus, — rozpoczął przewodniczący, — pani zrobiła jedno ważne spostrzeżenie. Widziała pani mianowicie flaszeczkę z trucizną u oskarżonej. Nie prawdziwa?

(Ciąg dalszy nastąpi).